

Temat: Najstarszy znany mi mieszkaniec Żychlina

Tytuł: "*Franc !*"

autor: Wiktoria Sylwestrowicz
– Szkoła Podstawowa nr 2 w Żychlinie , kl.VI a
opiekun; Marlena Lewandowska – nauczyciel historii

Gdy ogłoszono konkurs historyczny od razu wiedziałam, że chciałabym opowiedzieć jakąś historię życia. "Kandydata" znalazłam szybko. Żychlin jest mały i kandydat właściwie znalazł się sam. To człowiek, którego życiorys mógłby pozłżyć jako scenariusz filmowy – i na pewno nikt by się na nim nie nudził! Ten człowiek to Franciszek Pawłowski – dziadek kolegi mojej mamy. Poprosiłam więc ją, aby przeprowadziła z nim wywiad, potem spisałyśmy historie z taśmy i uporządkowałyśmy ją. Oto opowieść, którą napisało życie :

"Nazywam się Franciszek Pawłowski. Urodziłem się 10 marca 1931r w miejscowości Krzywoznaki w woj. wileńskim. Wtedy to była Polska. Moich rodziców zabili Rosjanie jak miałem pół roku. Byłem przez chwilę przy babce Manuli, potem zabrano mnie do Domu Dziecka w Wilnie. Gdy rodzina uregulowała formalności wróciłem do babki – do Polski.

W 1939r. wybuchła II wojna światowa, a 17 września nastąpił atak wojsk radzieckich na Polskę. Osoby urodzone najbliżej granicy, a ja mieszkałem tylko około 1 kilometra od granicy, były wywożone przez Rosjan z Polski jako pierwsze – aby zrobić miejsce dla siebie.

Wywieziono nas na Sybir – do Kazachstanu, do miejscowości Atbasar. Wieziono nas pociągiem w wagonach przeznaczonych dla bydła, a Rosjanin chodził po wagonach cały czas z karabinem i nas pilnował aby nikt nie uciekł.

W Atbasar zamieszkaliśmy w kamiennych barakach. Była to miejscowość podobna do Żychlina. Było tam sporo Polaków, wszystkich około 60 – całe rodziny. Oprócz wywiezionych rodzin byli tam też żołnierze, często bez nogi lub ręki - więźni do niewoli podczas wojny.

Sybir to puste stepy i pola. Życie tam było bardzo trudne. Jak nie załatwiłeś sobie dodatkowego jedzenia – to koniec, ponieważ racje żywnościowe (pół bochenka) na rodzinę to było stanowczo za mało. Kręciłem się dlatego często koło pierakni, gdzie pomagałem rozładowywać węgiel lub wynosić popiół. Pracował tam Polak kozak – który wołał: Franc – dawaj i wtedy wiedziałem, że jest robota. Był bardzo dobrym człowiekiem. Dawał mi zawsze przylepkę chleba, którą mogłem podzielić się z babką i ciotką i bratem, którzy byli tam razem ze mną.

Początkowo z nami był też wujek ale poszedł podczas pierwszej okazji na front – walczył pod Monte Casino i nie musiał z nami się męczyć na Syberii.

W osadzie założono Polski Dom Dziecka w którym się znalazłem. Budynek jego był ładny, z kuchnią. Były tam polskie wychowawczynie, które nas uczyły po polsku.

W Atbasar były wielkie mrozy (-40 -45stopni Celcjusza).Marzliśmy. Jedynym plusem mrozu było to, że słycać było jak ktoś idzie z daleka – co się czasami przydawało. Dużo ludzi chorowało jak nie z zimna to zgłodu. Nie było toalet. Załatwiać chodziliśmy się na pole. Spaliśmy na siedząco i ciężko pracowaliśmy. Ja zgłosiłem się na ochotnika do szkoły przy Domu Dziecka. Przyjęto mnie do pierwszej klasy. Ciotka pracowała przy budowie parowozów.

W niedzielę nie pracowaliśmy, ale nie było tam księdza. Raz był biskup, była msza , ale tylko raz.

Do Polski wróciliśmy dopiero w 1946r.. Jak wyjeżdżaliśmy,nasze ubrania zabrano na samochód a my jechaliśmy w wagonach, w wagonach osobowych. Rosjanie nas żegnali. W wagonach jechały małe dzieci wszyscy razem – chłopcy i dziewczynki. Mój brat był chory i zmarł w drodze. Bardzo mi było smutno. Pochowany został w miejscu urodzenia. Jechaliśmy z wychowawczynią, która pamiętam na jedej ze stacji wysiadła i przyniosła nam jedzenie.

W Polsce przyjechaliśmy do Gostynina. Był to taki punkt przejściowy, stąd podzielono nas na kilka jednostek . To był najfajniejszy czas. Był tam "dom wariatów". Żartowaliśmy sobie z jego mieszkańców. Ten śmiech był dla nas jak lekarstwo po tylu latach cierpienia. Pamiętam jak zmawialiśmy się i chodziliśmy na jabłka. Mimo tego, że mieszkaliśmy w barakach – były to cudowne chwile. Mieszkaliśmy tam około miesiąca. Potem trafiłem do Kwidzyna a potem do Sulęciana. Tam mieszkało około 500 chłopców - sierot. Uczęszczałem do Szkoły Przysposobienia Przemysłowego. Tak trafiłem do Żychlina wraz z grupą około 100 chłopców aby dalej uczyć się w przyzakładowej szkole zawodowej – oczywiście chodzi o EMIT. Mieszkaliśmy w baraku koło szkoły. To tu zaczęła się moja przygoda z boksem. Do szkoły przyjechał z Łodzi trener Lipiec, który początkowo mieszkał z nami w baraku potem w "balkonowcu". Lipiec był to dobry chłop. Ściągał

nas rano z łózek i dalej biegać. Ważyłem 66 kg. W boksie to bardzo ważna rzecz ile się waży, bo od tego zależy zakwalifikowanie do kategorii wagowej. Trening był rano i wieczorem, szkoła, praca w EMICIE, nauka – czas był wypełniony.

Pierwszy ring był na stołówce EMIT - już nie istnieje. Potem był składany ring w Zespole Szkół. To były cudowne lata. Wtedy poznałem żonę. Nazywała się Józia Czajkowska. Była ładna. Chodziłem do niej do domu, posiedzieliśmy, pogadaliśmy. Zabierałem ją do kina Energia a mieszkała w domu koło kina Lech. Był taki czas, że w Żychlinie były jednocześnie trzy kina i wszystkie miały klientów. Potem rodzina przyszłej żony wyjechała do Dierzoniowa, ja poszedłem do wojska do Opola. Byłem na szkole podoficerskiej, grałem w pierwszej lidze. Nasze drogi się rozeszły. Po Opolu trafiłem do Wrocławia gdzie pracowałem w Pafawag i dalej boksowałem na wyjazdach. Trenerem moim w tym czasie był niski, krępy człowiek o nazwisku Chudy. Przerwałem jednak karierę i zacząłem szukać Józki. Trafiłem do Bierzyc, gdzie ówczesnie zamieszkiwała z rodziną. Tam się pobraliśmy i urodził się nasz syn.

W 1956r. wróciliśmy już jako rodzina do Żychlina. Grałem i prowadziłem jako trener grupę bokserów w klubie STAL Żychlin. Niestety – "Sulęcina" (bo tak nas zwać – chłopaków, którzy przyjechali po wojnie z Sulęcina) się rozjechali i grupa bokserska się rozpadła.

Potem nastąpiły spokojne lata. Pracowałem w EMICIE, należałem i należę do Związku Sybiraków. Teraz mam 82 lat i mieszkam w Żychlinie. Mam kochającą rodzinę i tylko czasami wracam do tych ciężkich czasów Syberii, a i już mojego boksowania nikt nie pamięta... "

Na tym kończy się opowieść pana Franciszka – Franca Pawłowskiego. On skończył opowiadać ale my znając tę piękną historię spojrzymy zupełnie inaczej na mijających nas staruszków. Na pewno nie zapomnimy postawy i poświęcenia pana Franciszka dla sportowców Żychlina. Nie zapomnimy, że wygrał on w sparingu z mistrzem polski Ściągłą – niestety nie zarejestrowano nigdzie tego faktu, ponieważ była to nieoficjalna walka i wielka zniewaga dla mistrza, że krewki amator-Żychliniak dał mu łanie. To nie mogło wyjść na jaw. Ale świadkowie są jeszcze wśród nas ...



Archiwum Wschodnie

02-536 Warszawa, ul. Narbutta 29, tel. 48-07-12, tel./fax 48-07-28

Warszawa dn. 2 II 1994 r.

L. dz. 443/94

Nr indeksu 61/22767

Stwierdzamy, że w Księdze Głównej ewidencjonującej dzieci przybywające do Domu Dziecka w Gostyninie z sierocińców znajdujących się na obszarze ZSRR na podstawie Umowy Polsko - Radzieckiej Komisji Mieszanej do Spraw Ewakuacji Osób Narodowości Polskiej i Żydowskiej z dnia 06. 07. 1945, pod pozycją nr 2967

figuruje Pan(i) Franciszek Pawłowski

ur. 1931 r. w miejscowości Krzywoznaki, woj. Wileńs

syn (córka) Adolfa i Benigny z d. Manulik

Do Gostynina przybył(a) 25. V. 1946 r.

z miejscowości Atbasar, Kazachstan, ZSRR

W dniu 17 VII 1946 r. opuścił(a) Dom Dziecka w

Gostyninie i udał(a) się do Domu Dziecka 2 Kwidzyń, woj. Gdańskie...

FUNDACJA ARCHIWUM WSCHODNIEGO
INDEKS REPREZENTOWANYCH
ul. Narbutta 29
02-536 W A R S Z A W A
☎ 48-07-12, fax 48-07-28

PREZES FUNDACJI

z up. *Zbigniew Gluza*
Zbigniew Gluza

Bibliografia;

Praca została napisana na bazie wywiadu z panem Franciszkiem Pawłowskim oraz materiałów przekazanych jego rodzinę